

O Krzysiu i Alince i o Puku milej psince

Alinka i Krzys mieli psa Puka. Ten Puk to nie był taki zupełnie zwyczajny, o nie — miał to być bardzo rasowy piesek, ale wyrósł trochę na kundelka.

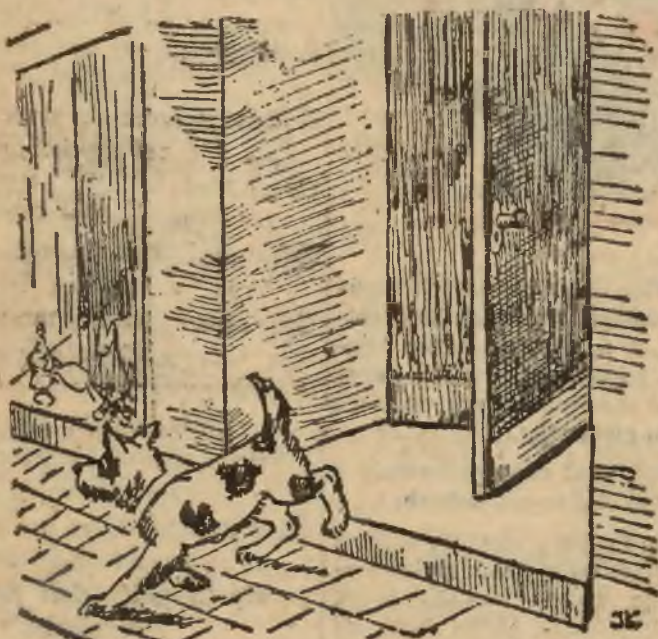
Najważniejsze było to, że Puk wcale się tym nie przejmował i na wszystkie krytyki odpowiadał niezmiennie:

„To nieprawda, hau-hau-hau,
gdy wyrosnę — śliczny łebek będę miał”.

A potem, żeby zwrócić uwagę na swe zalety, poszczekiwał:

„Patrzcie wszyscy, ham, ham, ha,
jaki piękny ogon mam!”

Zresztą był to naprawdę miły i wesoły piesek i dzieci kochały go bardzo. Ale nikt nie wiedział, że Puk miał jedno skryte marzenie — chciał sam wyostać się na ulicę i pobiec, gdzie nogi poniosą. Skorzystał tedy z pierwszej okazji, wysunął przez uchylone drzwi najpierw łebek, potem brzuszki, a wreszcie ogonek i... poszedł.



A tymczasem Krzys, chcąc mu dać drugie śniadanie, szukał go po całym domu, aż wreszcie zrozpaczony zawołał: — „Idę go szukać”, i wybiegł z mieszkania. Krzys był bardzo małym chłopcem i nigdy dotąd bez starszych nie wychodził na ulicę.

Ach, jakże inaczej wyglądała, gdy sam znalazł się przed domem.

Tuż na prawo rozciągało się wspaniałe królestwo słodczy: czekoladowe misie, króliki, pieski, kurki i laleczki uśmiechały się i piszczały, miauczały, gdakały:

„Czego szukasz Krzysiu?
Wstąpże do nas dzisiaj,
zjesz pyszne drugie śniadanie.
Pukowi nic się nie stanie”.

Ale Krzys zważył mężnie pokusę i poszedł na lewo. Tuż za rogiem stanął zdumiony. — Co to? Jaskinia czerwonego smoka... a czerwony smok stoi, sapie, warczy, ryczy i ledwie zobaczył Krzysia, woła:

„Jestem autobus-smok,
uwaga! och! och! och!
Jaki z ciebie, Krzysiu, zuch!
Uch! uch! uch! uch! uch! uch!
Po ulicy tu i tam,
chodzisz tak zupełnie sam?
Już wyruszam w swą drogę,
szukać Puka pomogę”.

Zzz... wrrr... Pojechał z trzaskiem, a Krzys nie ochłonął jeszcze ze zdumienia, gdy już dzwonił nad tramwaj:

„Mój chłopczyku, mój miły chłopczyku,
chodzić można tylko po chodniku”.

A tymczasem na przeciwnej stronie ulicy zbiegły się tłumnie taksówki i pytają:

„U-u-u, uf, uf, uf,
czego szukasz Krzysiu, mów”.

A gdy dowiedziały się, że chodzi o Puka, trądkę samochodową zaczęły ujadac zupełnie, jak pieski:

„Hau! hau! hau! hau! hau! hau!
gdzie ten Puk się podział?”

Uczynne latarnie pochyliły zaraz swoje duże, na cienkich sztykach zawieszone głowy i zapewniały:

„Choć wisimy wysoko,
lecz mamy dobre oko.
Niechaj Krzys sam nie szuka,
odnajdziemy mu Puka”.

A wszystkie kamienice, mrużąc w słońcu szklane szybki swych oczu, dopytywały się ciekawie:

„Co się stało, co stało?
Tak nam dobrze w słońeczku się spało”.

A wtem wrócił z podróży smok czerwony i ryczy na całe gardło:



— Oto sztuka znaleźć Puka — i czerwonym, ogromnym łapskim wskazuje na bramę Krzysowego domu.

Spojrzał Krzys — stoi Puk i kręci niepewnie ogonkiem. Wie dobrze, że przeszkrobał mocno.

Ciotka Jotka.

Do naszych Czytelników

Dalszy ciąg historii o Piernicz- J. Wyszyńskiego — jak Janek, kach, której część pierwsza uka- 11-letni harcerz sprawił wigilię zała się w mikołajowym numerze żołnierzom w okopach — i wle- małego ABC — dostaną nasi ko- le jeszcze innych historii i obraz- chani czytelnicy w następnym ków ślicznych i bardzo zajmują- noworocznym numerze. Będzie cych. Będzie podane rozwiązanie tam też ślicznie opisane przez p. rebusu i logogryfu.

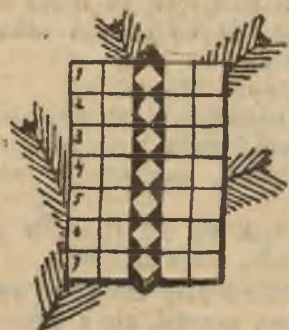
Dziękujemy za miłe liściki
i prosimy o dalsze



Zgadujcie Dzieci Logogryf

Znaczenie wyrazów:

1. Ptak używany dawniej do polowa-
wa. 1. pojed.
2. Przyrząd do rzucania kamienia-
mi, 1. pojed.
3. Posiada róża i kaktusy — 1. mn.
4. Odpadają przy młóceniu zboża
liczba mnoga.
5. Inaczej mocny smur.
6. Imię własne męskie w zdrobnie-
niu.
7. Wprawia się w okna dla bez-
pieczeństwa, 1. pojed.



Rebus

Mi o o j



Wigilia w Brazylii

Dziwny kraj — ta Brazylia. Na mapie niczym tak bardzo się nie różni i od innych krajów. Ziemia, góry, morze, rzeki — wszystko tak samo jest zaznaczone, jak na innych częściach ziemi, i wcale z tego nie widać, że tam jest wszystko odwrotnie, jak u nas. Grudzień jest właśnie w lecie i największe wtedy upały, a czerw- więc to tam zima. Ale nie taka zima, jak u nas. O śniegu natural- nie nie ma mowy, tylko tyle. że jest mniej gorąco, jak w lecie i częściej deszcz pada. Nawet księ- życ inaczej tam wygląda, bo w czasie pełni jest właśnie spłasz- czony z jednej strony — odwrot- nie, jak u nas. Z językiem też tam jest dziwnie — w Polsce mówi się po polsku — a w Brazylii nie po brazylijsku, tylko po portugals- ku albo po hiszpańsku.

W gorący, grudniowy, wigilij- ny wieczór — wracał do swojej ranczy — do domu, Huan Do- mingo z dziesięcio letnim synkiem Estebanem. Byli na wiliłi urzą- dzonej wspólnie, z innymi sąsia- dami w dużej izbie przy szkole. Wiliła była wspólna z tej okazji, że do jednego z sąsiadów przyje- chał krewny z Polski. Huan Do- mingo, był też Polakiem i nazy- wał się w swojej wsi Jan Niedzie- la — co tu przetłumaczono na ję- zyk portugalski, a synek jego też nazywał się naprawdę Stefan, a nie Esteban.

Dziesięć lat temu przyjechał Jan Niedziela do Brazylii, do sta-

nu Parana z żoną i rocznym syn- kiem. Ziemia tu była tania, moż- na jej było dużo kupić za nie du- że pieniądze. Tylko jaka to była ziemia? Las i las, matto po bra- zyljsku spłątany, gesty, nie do przebycia. Trzeba go było deri- bować — wycinać. Kosztowało to trudu — kosztowało! Siekiera ani piłą tu się tego nie robi, bo pi- niory — podobne do naszych so- sen, imbu — i inne drzewa są tak twarde, że się każda siekiera na nich wyszczerbi. Cały zaś ten las jest tak obrosnięty i opłatany wi- jącymi się i strasznie mocnymi lianami, że do pni nie można do- trzeć. Więc wycina się tylko ga- łęzie, mniejsze zarośla i liany foissá — taką małą, ostrą kosą na pionowo osadzoną i fakonem — podobnym do noża harcerskiego, a potem resztkę pni podpala się.

Droga od szkoły do domu Do- mingo była długa, miał więc czas wspominać sobie te trudy pierw- szych lat po przyjeździe, jak to często robił. Ale dziś zaraz przy- płatały się inne wspomnienia.

Bartłomiej Chowaniec przypo- mniał mu inne wilił.

Sianko pachnące pod lnianym obrusem, snop żyta, stojący w ką- cie, a za małym okienkiem cha- tupy pachnący mrozem, skrzący śnieg.

A ta wiliła? — Jakaż to wiliła była? Ryba—oczywiście, bo tu się i tak prawie innego mięsa nie je — ale reszta? Pożał się Boże!

Skończyło się na docze — słody-

czach, owocach smażonych i po- pijaniu szmaronu — odwaru z herby maty.

— Hej — jak się to u nas syn- ku jechało na pasterkę — wspo- mniał głośno Domingo — jak to skrzypiał mróz pod saniami!

— A jak to mróz skrzypi — co to właściwie jest mróz? — zdzi- wił się Esteban.

W tej chwili dopiero zrozumiał ojciec, że mały jego syn — to jak- by nie jego dziecko, bo nic nie rozumie z tego, co on czuje i wspomina.

Przez wszystkie lata ciężkiej pracy nie było na to czasu, aby opowiadać małemu dziecku o tym, jak to było w domu, w Pol- sce. Potem Esteban zaczął chodzić do szkoły. A że blisko nie było szkoły polskiej, więc czytać uczył się na elementarzu portugalskim i mówił coraz lepiej po portugal- sku, a coraz gorzej po polsku. Czasem nawet nie bardzo rozumi- ał tego, co rodzice między sobą mówili, a i oni sami częściej u- żywali słów portugalskich.

Słów — śnieg i mróz — Esteban nie rozumiał, bo nie używano ich tam, gdzie nie ma śniegu, ani mrozu.

— I jak to wytłumaczyć, co śnieg i mróz takiemu smykowi, westchnął ojciec — co ani śniegu nie widział, ani mrozu nie po- czuł?

I dopiero teraz zrozumiał, dla- czego mały Esteban nie cieszył się tak. Jak on! kołędami, które wyśpiewywał i przypominał im krewniak sąsiada, co świeżo z Polski przyjechał.

Na wspomnienie kołęd tak mu się wesoło zrobiło, że huknął na cały głos: „W dzień Bożego Narodzenia” — wszystkie zwrotki, które mu się dzisiaj przypomnia- ły. A Esteban usta otworzył ze zdumienia, że tyle nieznanymi słów słyszy: słowik, szczygieł, szpak, gołąbek — i pytać chciał o ich znaczenie, ale ojciec i py- tania żadnego nie słyszał, tylko śpiewał, a śpiewał:

„I żorawie w swoje nosy
wykrzykują pod niebiosy,
czajka w górę podlatuje
chwałę Panu wyśpiewuje.”

Sroka wlatyła na jodlinę
otarła sobie łysinę,
i choć gołe świeci czoło,
gwarzy jednak dość wesoło.
Kur na grzędzie krzyczy wsze-
dzie:

— Wstańcie ludzie, bo dzień
[będzie;

Do Betleem pospieszajcie,
Boga w ciele...

Nie skończył ostatniego słowa, bo nagle mały Esteban z wielkim krzykiem skoczył ku niemu i zar- zuciwszy mu ręce na szyję moc- no podkurczył nogi ku górze.

— Żararaka — żararaka — po- wtarztał zdyszany głosem.

Spojrzał ojciec i rzeczywiście na wąskiej „pikada” — ścięte leżał zwinięty najjadłowitszy z węży i spał. Na szczęście Esteban spostrzegł go na czas, a ojciec trzymając go na rękach obszedł węża nokoło — brodząc w wyso- kiej aż po piersi trawie.

Do domu było już niedaleko,

więc przycisnął do piersi prze- straszonego i zmęczonego chłop- ca i mruknął:

— U nas takich gadów i przez

całe życie nie uwidził.

— Ale za to — te jakieś szpaki, sroki i szczygły, tato — co? — spytał sennie, zmęczony Esteban.

— Tak, tak synku. — Tylko mi teraz nie zaśnij, bo dom już wi- dać. Zejdź na ziemię, boby się matka śmiała, że taki duży chło- pak na rękach do domu wędruje. Rzeczywiście widać już było światła w oknach, a liście drzew hebanowych przed domem rosna- cych — liście szerokie na pół me- tra i długie na metr błyszczały w tym świetle jak blacha.

Zaklaskał Domingo parę razy w ręce i zawołał po brazylijsku: O de kaza! — żeby im otworzono. Pokazała się w progu matka Es- tebana, trzymająca na rękach małą jego siostrzyczkę.

— No — gadajcież, jak tam by- ło? — dopytywała się ciekawie, gdy weszli do pokoju i już sta- wiała na stole posiłek, bo prze- cież taką daleką odbyli drogę. Ale Esteban — płał tylko sennie o ptakach nieznanym, kolen- dach i wężu — nie spojrzał na- wet na „zantar” — obiad, skia- dający się z fizonu — czarnej fa- soli i ryby gotowanej z ryżem, tylko porwał jeden kartofel, ten rzadki tam i najwiękzszy przy- smak i poszedł spać.

Trzeba pamiętać, że upał tam nie zmniejsza się nawet w nocy — a grudzień to lato.

Huan Domingo westchnął cięż- ko, otarł pot z czoła i zamyślił się nad czymś głęboko i długo.

Zrobiło się cicho, tylko muchy bli- ły o siatki w oknach, a on myślał i myślał. Nareszcie widać coś po- postanowił.

— Wiesz co matka — dosyć mam tego wszystkiego.

— Czego? — spytała przestra- szona.

— No — wszystkiego, jedzenia, kraju i nawet nazwiska własne- go. Wiesz ty, że Stefan to nie wie co to mróz, co sroka, szczygieł, co sanie? Jakże to tak ma być dalej? On nawet nie wie przecie, że ja Jan Niedziela, a ty Agata Nie- dzielaczka się nazywasz. To prze- cie jakby nie nasze dziecko było. No nie?

— No tak — po prawdzie tak — zatroskała się Janowa — ale jakże to zrobimy? Fazendę już taką dużą mamy — ziemi tyle i bydła?

— No to cóż? — Przyjechał Bartek Chowaniec — pieniądze przywiózł — zapłaci, a może do- da jeszcze pole, co zostawił we wsi, w Polsce — obliczymy się — i jazda do domu! Dzisiaj dopiero zrozumiałem, że Stefan rychłoby brazylijaninem się zrobił, a on Polak przecie.

• No i tak uradzili, że jak tylko można najrychlej wrócą do domu. A matka kładąc się spać pogła- skała główkę śpiącego synka i szepnęła z radością ową nowinę.

— Pojedziemy do domu synku,

— do Polski pojedziemy.

— Tam nie uwidzi żararaka —

matuś — co? — spytał tylko praw- wie przez sen Stetek Niedziela.

Maria Dolega.